

HOCHMAN

AGNIESZKA GÓRA-STĘPIEŃ



Michał Hochman, 2015.
Fot. Wioletta Wejman.
Archiwum Fotografii Ośrodka
„Brama Grodzka – Teatr NN”

– Tu był empik. – Hochman patrzy na kamienicę na rogu Krakowskiego Przedmieścia i ulicy Wróblewskiego. – Empik to było nasze okno na świat, bo przychodziło się, żeby poczytać, jeżeli się umiało czytać po angielsku czy w różnych językach.

Empik zajmował parter oraz większą część pierwszego piętra kamieniczki, gdzie później mieścił się między innymi sklep Adidasa, a dziś jest Burger King.

– A Chmielewski zawsze był, o ile pamiętam – mówi Hochman kilkanaście metrów dalej.

Cukiernia Chmielewskiego słynęła z pączków i sękaczy.

„Każda dzielnica miała swoje osobliwości, innych ludzi, inne sklepy, domy i knajpy” [Bielski 233].

– Krówki, dropsy, nawet pojedyncze cukierki sprzedawała pani – wspomina Hochman już przy Lubartowskiej, gdzie się wychowywał. – Tu mieszkaliśmy od czterdziestego ósmego – wskazuje kamienicę – do pięćdziesiątego siódmego albo ósmego. [...] A cukiernia była tu, gdzie [są] Podręczniki Szkolne. Tutaj właśnie dużo rzemieślników żydowskich pracowało.

Dla przykładu parasolnik Nuchym Szyc, którego głos unosił się nad Lubartowską: „Re-pe-ru-ję pa-ra-so-le!”

Do zakładu rzemieślniczego parasolnika wchodziło się przez podwórko, dalej schodami na piętro. Jako jeden z niewielu brał na warsztat również te przedwojenne. Reperował też lalki. Niektórzy przychodzili do warsztatu tylko po to, żeby go posłuchać. Dzieciom z okolicy pan Szyc rozdawał cukierki. Michał Hochman miał dziesięć lat, był synem Gołdy i Izaaka i mieszkał po drugiej stronie podwórka.

– Opowiadałem wam tę historię, jak dolara z gazy sprzedawałem? – pyta Hochman. – Bo w „Przekroju” był kiedyś artykuł na temat podrabianych pieniędzy i było zdjęcie dolara, więc ja wyciąłem tego dolara, zwinąłem go w taki rulonik, to tutaj, przyszedłem do parasolnika...

Parasolnik

Na półkach w zakładzie rzemieślniczym leżały tysiące gołych lalek.

– Zrobię taki numer, że go komuś sprzedam – powiedział dziesięciolatek z banknotem.

Pan Szyc wyjrzał zza stołu:

– Wiesz, to idź do tego pana i powiedz, że masz dolara do sprzedania. – Wskazał na kamasznika, który handlował dolarami.

Kamasznik rzucił okiem na zwitek:

– A ile chcesz? – Spojrzał na chłopca.

– Siedemdziesiąt złotych – odparł dziesięciolatek. Szybko przekalkulował, że skoro dolary chodzą po 100 złotych, 70 złotych to kusząca oferta. Nie mylił się: kamasznik bez namysłu zapłacił, a po paru dniach zadzwonił z pretensją do jego matki:

– Pani Hochmanowa, kogo pani wychowała! – krzyczał. – Sprzedał mi podrobionego dolara! Niech mi pani odda pieniądze!

– Zaraz, przepraszam – odpowiedziała Gołda Hochman. – Jak ja panu mogę oddać pieniądze? Niech pan negocjuje z moim synem. On to panu sprzedał – kończyła, wyglądając na podwórko.

– Ja nigdy nie miałem jakichś antysemickich zdażeń w tym czasie na Lubartowskiej – wspomina dziś.

„W połowie 1946 roku miasto zamieszkiwało około 2300 Żydów. Po wywołanej pogromem kieleckim masowej emigracji z kraju liczba ta zmalała do około tysiąca osób” [Kopciowski 21].

– Wiesz, Agnieszka, ja wiedziałem, że on jest Żydem, był czarny, taki nos miał, i miał śliczną siostrę Irenę, brata starszego, ale – podkreśla dziś Tadeusz Sandecki, kolega Hochmana z młodości – my, którzy się urodziliśmy po wojnie, bo Michał jest z [czterdziestego] czwartego lub piątego, to myśmy nie odczuwali, że to Żyd, w sześćdziesiątym ósmym, dopiero wtedy myśmy przecierali oczy, że on jest Żydem. [...] Potem go odprowadziłem, jak wyjeżdżali.

– Co ja będę robił? Parasolki będę reperował w Ameryce? – głowił się parasolnik na myśl o emigracji. – Przecież tam się wyrzuca parasolki, jak i lalki.

„W latach 50. w Lublinie żyło jeszcze kilkuset Żydów, którzy w większości opuścili Polskę po wydarzeniach 1968 roku” [Kopciowski 21].

– [...] jak Michała odprowadzałem – mówi dalej Sandecki – to słuchaj, sześćdziesiąty ósmy, no to on miał z dwadzieścia trzy, cztery lata?

– Pan Szyc też chciał wyjechać z Polski, ale bał się, że nie ma zawodu, bo rzeczywiście z reperowania parasolek to w Stanach nie mógłby się utrzymać. Ale jestem pewny, że dałby sobie radę dzięki swojej wiedzy, mimo że nie miał żadnych papierów ukończenia szkół. Ważne, co się ma w głowie. A miał dużo w głowie – wspomina Hochman. – Parasolnik, parasolnik był tutaj. Tędy jak się chodziło, tu, po prawej stronie, na drugim piętrze, tam te brązowe drzewa.

Gołda

Hochmanowie mieszkali w kamienicy po drugiej stronie podwórka. Do mieszkania prowadziły schody, dość strome, z balustradą. Okna pokoju gościnnego wychodziły na ulicę Wodopojną, przy której Izaak Hochman ojciec wynajmował plac na postój dla koni. Na prawo od wejścia była kuchnia, gdzie często pachniało smażonymi ziemniakami, które uwielbiał Michał. Pani Hochmanowa była w nich ekspertką. A i miała dalej w pamięci smak placków kartoflanych ze swojego dzieciństwa. – Bez cukru – mawiała. – Moja mama jadła z cukrem – opowiadała potem, wracając do wspomnień sprzed wojny z miasteczka Siedliszcze nad Wieprzem, gdzie się urodziła i gdzie dorastała w wielodzietnej rodzinie. Gołda Hochman pochodziła z chasydzkiej rodziny. W domu mówiło się w jidysz. „Po polsku możesz rozmawiać w szkole z polskimi koleżankami, ale jesteś córką żydowską – jidysze tochter – i musimy rozmawiać swoim językiem”, tłumaczył jej ojciec. Szybko wyszła za męża. Potem wybuchła wojna.

– To jest twój dziadek – po wojnie w Lublinie nieraz wyjmowała fotografię. A kiedy Michał spoglądał na kolejne zdjęcia: – A gdzie są? – pytał o rodzinę, rodzeństwo ojca czy matki, jego ciotecznych braci i siostry, pani Hochmanowa mówiła, że ich nie ma, niewiele więcej. Albo po prostu, w trzech słowach: – Zginęli w obozie w Sobiborze – urywała rozmowę.

– Mama miała trzy siostry, dwóch braci, dzieci i wnuki, wszystko, wszystko poszło do Sobiboru – zaczynała pani Hochmanowa. – Mama się nazywała Ita, tata się nazywał... wołali go Motel, ale jego imię właściwe to było Mordechaj, ale to było takie niepospolite,

wszyscy wiedzieli, córka Moltówna, matka Moltowa, jedna siostra nazywała się Rywka – bywało, że pani Hochmanową brało na wspomnienia – druga Hana, trzecia Frajda, czwarta Polcia, potem Rachela, brat Amra i ja. [Brat] był oczkiem w głowie u nas, bo jedynak. On cały sklep prowadził, jeździł po towary... – opowiadała, a rozmowę o tym, co wydarzyło się podczas wojny, Gołda za każdym razem urywała: – I tak się rodzina skończyła – mówiła tylko. – Siostry miały dzieci... wszystko zginęło. A wszystkie były udane! Jak laleczki. I poszło, za co?! – mogłaby pytać bez końca. Nie pytała.

– Ja się uratowałam dzięki temu, że ja wyszłam za męża. – Najwyraźniej pani Hochmanowa wołała mówić o życiu. – Jakbym była z rodzicami, to ja bym poszła z nimi. Ale jak to los, takie przeznaczenie, że ja miałam zostać – mogła powiedzieć. Było jednak jeszcze za wcześnie, żeby rozgrzebywać wojenne rany (to opowie-działa dopiero po latach dla Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN” w Lublinie), a w domu przy Lubartowskiej, jeśli szło o wspomnienia, w codziennych rozmowach częściej wracały tematy sprzed wojny. Jak z panem Dąbrowskim o sklepie, który prowadził ojciec Gołdy.

– Mieliśmy duży sklep, to jest taki jak dom towarowy, ale pomieszczenie było małe. No ale tam wszystko było – od igły do futra, do motocykla, przybory szkolne, podręczniki szkolne – wyliczała Gołda. – Mój ojciec musiał prowadzić ten sklep, ale miał papiery na rabina – wspominała. – Urodziłam się w bardzo religijnej rodzinie. Dla mnie to było okropne, w sobotę nie wolno było się czesać, no i w ogóle było takie skrępowane to życie dla dziewcząt. Dla mnie to było nie do zniesienia – przyznawała. I znów na jej twarzy malował się uśmiech.

Pani Hochmanowa nie zmuszała dzieci do religii, a Michał Hochman swoją tożsamość określał zdaniem: „My jesteśmy po prostu Polakami, którzy pochodzą z rodziny żydowskiej, ale nawet nie religijnej, tak że ja jestem Polakiem, stuprocentowym”, akcentuje. Nie zna dziś jidysz, choć pamięta, że w domu przy Lubartowskiej mówiło się po żydowsku:

– Pamiętam w dwudziestym piątym czy czwartym roku otworzyli takie miejsce – wspominała dalej Gołda, możliwe, że w jidysz – gdzie dawali biednym ludziom jeść, to tam było kakao, kawa i ryż z mlekiem. I ja tam poszłam, a to było niedaleko. I ja tak zazdraszczałam, czego dają innym ryż z mlekiem, a mnie nie dają. I przyszłam do domu i płacę: „Dlaczego mnie nie dajecie ryż z mlekiem?”. „A to jest dla biednych ludzi. To nie dla ciebie”. „To ugotuj mnie ryż z mlekiem”.

Gołda była niezłą kucharką. Po mistrzowsku przyrządzała rybę po grecku.

– Pani Hochmanowa robi karpia – dzwonił do niej przed uroczystościami dla nauczycieli czy komitetu rodzicielskiego.

– A poza tym wtedy były w zasadzie takie polskie potrawy – wspomina jej syn. – Nie można powiedzieć, że to były jakieś specjalnie żydowskie potrawy. Zresztą karp po żydowsku jest przyjęty także w kuchni polskiej. Ja mieszkałem na Lubartowskiej 14, przebywałem często na podwórku z kolegami, sąsiadami i nasze stosunki świetnie się układały.

Tadeusz

– Poznałem Michała, ponieważ mój ojciec wychował się na końcu Lubartowskiej przed wojną – mówi Tadeusz Sandecki – więc wiesz, to żydowska dzielnica, to koledzy jego, a on umiał z tymi Żydami rozmawiać. Ojciec był szefem Motozbytu i okazało się, że pan Icek, ojciec Michała, ma jakiś plac gdzieś tu niedaleko Lubartowskiej i on z Ickiem zrobił interes, że państwowa firma wydzierżawiła ten plac. Nie wiem, czym handlowali, w każdym razie ten Icek okazał się świetnym facetem i miał syna, i myśmy się poznali. Tak że ja z Michałem byłem bardzo związany, on zaczął śpiewać.

Michał kupił gitarę i śpiewał na klatkach rock'n'rolla. Kiedy mieszkał przy Lubartowskiej, spał w łóżku z bratem. To ten brat któregoś dnia wpadł na pomysł kryształkowego radia z anteną, która z balkonu przechodziła aż na plac na ulicy Wodopojnej.

– I kryształkowym radiem słuchaliśmy muzykę, i nawet można było Wolną Europę złapać – wspomina Michał Hochman. – Wyjmowało się taką szpileczkę i wsadzało się w inne miejsce kryształka. Tak się łapało różne stacje. Głos Ameryki, Wolną Europę i na szczęście Radio Luksemburg.

– O, to jest właśnie Elvis! – Brat podał mu słuchawki.

– Potem był też modny Paul Anka i jeszcze inni. I tak zaczęłem kombinować z akordami – opowiada Hochman. – Koledzy z drugiej strony ulicy też śpiewali i tak sobie wymienialiśmy słowa fonetycznie spisane z radia, ale były zakłócenia, tak że te słowa miały w sobie pewien efekt zakłócenia, tak że nie miały tego samego znaczenia co oryginały.

Śpiewał w bramie przy Lubartowskiej.

– Wie pani, pani Agnieszko, to jest tak, że to wszystko wymusiła pewna sytuacja: to, czego nie było w Polsce i wszyscy za tym dążyli, żeby nosić długie włosy, żeby słuchać Beatlesów – dodaje Sandecki. – Michał miał rodzinę w Brazylii, która przysyłała Michałowi płyty, bo on śpiewał *Dianę*, Presleya, to nikt nie miał takich płyt jak on.

Nosił płyty w reklamówce i chodził Krakowskim Przedmieściem.

– O, ładne masz płyty. – Któregoś razu przy sklepie muzycznym Hochmana zaczął Michaj Burano,

muzyk pochodzenia romskiego: – Czy jest możliwość, żebym sobie to nagrał, przesłuchał? – spytał Michaj i zaprosił go do siebie.

Ojciec Michaja powiedział czystą polszczyzną:

– O, pan ma bardzo ładne płyty.

Tadeusz Sandecki pamięta, że przy płytach z Brazylii spędził sylwestra z Michałem. Sandecki miał jakieś szesnaście lat.

– W połowie lat 60. Beatlesi, no to nasza mekka – dodaje Sandecki. – Wie pani, myśmy spędzali wakacje w Sopocie, dlatego że Trójmiasto było atrakcyjne, powiało Zachodem.

– No, Michał, wiesz – zaczął Sandecki, kiedy spotkali się na sopockim deptaku. – Jest taki klub, zaraz przy molo, to zaraz pójdziemy. Tam jest konkurs, gdzie amatorzy śpiewają, i tam co wieczór jest atrakcja.

Michał zajął drugie miejsce. Startował w kolejnych konkursach, a na obozie piosenkarskim w Kołobrzegu brał lekcje między innymi u Komedy. Z Krakowa przyjechał kabaret Cyrulik, który śpiewał *Konika na biegunach* w wersji kabaretowej.

Spytał:

– Czy ja mogę to śpiewać?

– Proszę bardzo.

– Spisałem sobie słowa – wspomina – i zaprezentowałem tę piosenkę w zespole Pawła Falkiewicza. Zrobiliśmy tę piosenkę i od razu niesamowicie się spodobała. Nagraliśmy to w Radio Lublin.

Studiował geografię na Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi UMCS. Mieszkał już z rodziną w kamienicy przy Krakowskim Przedmieściu 26.

Gołda – ciąg dalszy

– Po wojnie mąż pracował w Motozbycie jakiś czas, a później, firma Odbudowa się nazywała – pani Hochmanowa opowiadała nowym sąsiadom. – Potem żeśmy cały czas składali papiery na wyjazd, w 1947 roku do Brazylii, do Nowej Zelandii i zawsze dostawaliśmy odmowną odpowiedź. W końcu zrezygnowaliśmy – ileż można razy pisać i odmawiają, odmawiają...

Zdecydowali się zostać w Polsce na stałe, dlatego podjęli kolejną decyzję: gruntowny remont mieszkania.

To było duże mieszkanie przy Krakowskim Przedmieściu, komunalne, ponad 100 metrów.

Poza Michałem miała córkę Irenę. Irena była najmłodszym dzieckiem. Michał – środkowym. Miał jeszcze starszego brata. Josef urodził się w 1939 i nie miał jeszcze dwóch lat, a już doświadczył wojny: rodzice zabrali go przed Hitlerem za wschodnią granicę, gdzie NKWD wysłało Hochmanów na Sybir. Jechali pociągiem: – I tak się jechało, przez cały miesiąc do miejsca przeznaczenia – opowiadała pani Hochmanowa. – Było to okropne miejsce, sami więźniowie,

którzy dostali dożywocie. I baraki były, takie z tych grubych bali, w każdej szparze, między tymi balami, pełno pluskw. Wszędzie. Jak to spać? Czterdzieści deka chleba. No i woda gorąca była. Kilka kostek cukru dziennie. Niemożliwe. Powiedzieli, żeby pokrzywę położyć na podłodze, to już nie będą [pluskwy] wchodzić, ale to z góry znowu spadały te pluskwy, to wyszliśmy na zewnątrz. Na zewnątrz znowu, nad ranem, jak tylko świtać zaczynało, to już komary były, tak że nie było gdzie spać w ogóle. No i stamtąd nas zabrali.

Statek na 200 osób, musiał zmieścić 1400. Ludzie rzucali się do wody. Podcinałi żyły. Josef dostał biegunki. – Tylko tak patrzył, nie ruszał w ogóle oczami, tylko patrzył w górę w ogóle bez ruchu – wspominała dalej pani Hochmanowa. – Był tak wychudzony, tylko skóra i kości.

Pani Hochmanowa zdobyła 10 deka ryżu. „No dobrze, ale co zrobię z ryżem na statku, proszę mi powiedzieć?“, pytała bez końca. Słyszała: „Staniemy przy wodzie, to pani uezbiera zapalek, wie pani, i podpali?“. Mówiła: „Ja nawet nie mam garnka, gdzie ja zapalki znajde?“

Na szczęście ktoś miał garnuszek, inny pożyczyl zapalek, a wody nabrała ze stawu.

– Zapaliłam ogień, ugotowałam ryż, zrobiłam rzadki, żeby było więcej, i dałam mu tego kleiku ze trzy, cztery łyżeczki, nie więcej, a dziecko już patrzyło na mnie normalnym wzrokiem – już widziałam, że życie jest w nim – opowiadała po latach dla Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN” w Lublinie.

W lutym sześćdziesiątego ósmego pani Hochmanowa kończyła urządzać dom. Mieszkanie zdobyły re-produkcje z empiku, węgierskie meble i przedwojenny stojący zegar. Były też ramki do zdjęć, które robiła jeszcze w szkole. Od spodu obciągnięte szarym płótnem, na wierzchu wymalowane wisienki, a w środku fotografie.

– Tu była łazienka, a tu było okno, nie wiem, co się stało – zastanawia się Hochman. – To był ten pokój nasz, salon, i tu było wejście do drugiego salonu, tak...

Gomułka

W pokoju stał telewizor.

– W domu w telewizji oglądaliśmy te wszystkie przemówienia Gomułki w sześćdziesiątym ósmym – wspomina.

Przeobrażenia w Polsce przybrały na sile latem 1967 na skutek wybuchu wojny izraelsko-arabskiej, kiedy ZSRR potępił Izrael i zerwał z nim stosunki dyplomatyczne, podobnie jak polskie władze. W czerwcu Władysław Gomułka powiedział, że agresja Izraela jest rezultatem spisku najbardziej reakcyjnych sił międzynarodowego imperializmu.

– Znajomi Polacy przychodzili i tak słuchaliśmy tego. I taka cisza była, zupełnie nie było komentarzy.

Na festiwalu w Świnoujściu członkowie Rady Nacionalnej ZSP zarzucali Hochmana pytaniami na przykład o opinię na temat agresji Izraela.

– Ta wojna była w czerwcu, a festiwal w Świnoujściu był chyba w lipcu – wspomina po latach. – Ale ja byłem apolityczny, ale sprawa Izraela to oczywiście mnie interesowała. Nie tylko mnie, bo większość moich znajomych Polaków była strasznie zadowolona z tego, że Izrael pokona Arabów. Arabowie byli wtedy zaprzyjaźnieni ze Związkiem Radzieckim, tak że było dużo „uroczystości” takich knajpowych. Nawet czasami się trochę bałem, że tam są różni ludzie siedzący przy stołach, którzy to odnotowują. Pewnie odnotowali.

Ósmego marca 1968 roku miała się odbyć kolejna giełda piosenki. Michał Hochman pamięta, że pojechał wtedy z Kazimierzem Grześkowiakiem. Zamiast Giełdy – zamieszki.

Tamtego dnia marca w Warszawie został zwołany wiec protestacyjny w obronie relegowanych z uczelni za działalność opozycyjną oraz za żydowskie pochodzenie Adama Michnika i Henryka Szlajfera.

– Ten sześćdziesiąty ósmy, muszę ci powiedzieć, że tu dało się zauważyć w tym środowisku studenckim – dodaje Tadeusz Sandecki. – Ja mieszkałem na Skłodowskiej, to studenci, pamiętam, to draka była, rzucili łóżko metalowe, bo policja podchodziła. I cały pochód przeszedł od akademików do alei Raławickiej. To był taki zryw, wiesz, to się odczuwało, ale wiesz, wtedy Lublin był stłamszony. [...] Nagonka na tych Żydów była straszna. Wyjechali nasi koledzy, którzy byli przymusami, przecież ja pierwszego Żyda z pejsami widziałem, ja wiem, może miałem osiemnaście lat, może na Majdanek przyjechali, a tak to się nie odczuwało tych Żydów. No wiesz, ten antysemityzm siedział w naszych władzach, Gomułce...

– Słuchaj, Michał, teraz nic nie mów o Izraelu, o polityce, bo jesteś obstawiony przez czterech facetów, którzy cię obserwują – któregoś popołudnia usłyszał Hochman.

Izaak

– Z kolei tata – mówi dalej po latach – miał taki sklep z częściami motoryzacyjnymi na ulicy dawnej Dąbrowskiego...

Tuż po Wielkanocy, 16 kwietnia do sklepu Izaaka Hochmana, po godzinie dziesiątej wszedł mężczyzna z pismem o natychmiastowe zamknięcie pod groźbą sankcji karnej. Hochman miał współnika i razem chcieli ratować biznes.

W urzędzie finansowym usłyszeli:

– Chętnie pomożemy – powiedział urzędnik.



Michał Hochman i Irena Hochman podczas oficjalnej ceremonii Zjazdu Lublinerów, która odbyła się 3 lipca 2017 roku w Zamku Lubelskim w Galerii Malarstwa Polskiego XVII–XIX wieku.

Fot. Marcin Jan Butryn. Archiwum Fotografii Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”

Pomóc chciał też Wydział Handlu:

– Ale partia jest przeciw – tłumaczono.

Hochman nigdy w partii nie był.

– Mieszkanie urządzone, 150 tysięcy włożyliśmy w ten remont! – Pani Hochmanowa nie dowierzała: – I meble nowe, i to wszystko zostawić, i już wyjechać?

– Odnowimy panu koncesję, ale bez pana Hochmana – powiedziano wspólnikowi Hochmana w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w Warszawie.

– W Polsce nie ma miejsca dla was – powiedział urzędnik do Hochmana. I dalej: – Świat jest duży, dlaczego tutaj? Wszędzie będzie mógł pan na pewno prowadzić sklep.

– Ależ, proszę pana, ja się tu urodziłem i ja tu jestem obywatelem tego kraju, to jest moja ojczyzna od prapradziadków – tłumaczył Izaak Hochman niemal na jednym wdechu.

Przed wojną Izaak miał młyn. Mieszkał z żoną we wsi Siedliszcze. Żona urodziła mu syna. Któregoś dnia powiedziała: „Uciekaj, bo tu gestapo cię szuka, uciekaj do Chełma”. Izaak przesiedział kilka dni u znajomych i przeszedł przez Bug. W styczniu 1940 roku Gołda z małym dzieckiem przekroczyła wschodnią granicę i dołączyła do męża. To była sobota, druga, może druga trzydzieści nad ranem: przyszło NKWD i wysłało ich na Sybir. Michał Hochman urodził się już w Omsku w 1944 roku, dokładnie w Wisynku koło Omska, gdzie jego rodzice zostali wysłani do obozu pracy. Do Polski wrócili w czterdziestym szóstym, najpierw na ziemię zachodnie, do Wrocławia. Do Lublina pierwszy pojechał Izaak, dostał zameldowanie i ściągnął rodzinę. Hochmanowie zamieszkali w pokoju w kamienicy na

rogu Lubartowskiej i alei Tysiąclecia. Kolejne mieszkanie, przy Lubartowskiej, sąsiadujące z parasolnikiem, z czasem zamienili na lokum w kamienicy przy Krakowskim Przedmieściu 26. W sześćdziesiątym trzecim Izaak otworzył sklep przy ulicy Dąbrowskiego.

– Ile myśmy to zdrowia włożyli dla tej Polski, i teraz, już po wojnie! – tłumaczył Izaak w sześćdziesiątym ósmym w Ministerstwie. – Ja cały czas pracowałem, płaciłem siedem tysięcy złotych podatku co miesiąc, do Skarbu Państwa! Dlaczego? Gdzie ja mam teraz jechać?!

W 1968 musiał zamknąć sklep.

Pytał dalej:

– Ja już mam 55 lat!? Nie znam języka, nie mogę sobie pozwolić w tym okresie, żeby wszystko zostawić! Nie mam zawodu, co ja będę robił na świecie? Tu jest moje miejsce, to jest moja ojczyzna.

Słyszał:

– Nie, tu nie ma miejsca. Musi pan opuścić Polskę.

Lato Hochmanowie spędzili w Bieszczadach. Piętnastego września usłyszeli, że mają prawo pobytu w Polsce do 28. dnia tamtego miesiąca.

– Dosłownie dali nam 13 dni – nie dowierzała Gołda, wpatrując się w meble, które sprowadziła z zagranicy. – To jak można zlikwidować całe gospodarstwo, urządzone mieszkanie?!

Dała ogłoszenie do „Kuriera” i sprzedała majątek za grosze.

– To rób, jak chcesz. – Spojrzał ojciec na syna, bo Michał wzbraniał się przed wyjazdem. Miał w Polsce dziewczynę i plany nagraniowe dla III Programu Polskiego Radia.

Zespół „Bezimienni” z Michałem Hochmanem wiosną 1964 roku. Na zdjęciu od lewej: Leszek Wijatkowski, Piotr Wierzejski, Andrzej Żołnierowicz, Michał Hochman, Tadeusz Niedźwiecki. Kolekcja Andrzeja Żołnierowicza. Archiwum Fotografii Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”



– Jeśli chodzi o życzliwych ludzi, to muszę powiedzieć takich parę nazwisk, które pamiętam – wspomina po latach Michał Hochman. – Z tych, co pamiętam, to był pan Sandecki, który kiedyś pracował z tatą w Motobycie, był tam dyrektorem. To odprowadzał nas do dworca, tam gdzie była odprawa celna naszych rzeczy. To i Jerzy Księski, który w radiu był redaktorem. No to oczywiście zaraz ich wyrzucili, bo to nie chcieli mieć celnicy świadków, co tam się dzieje na tej odprawie.

– Przedstawia to dla was wartość, proszę, idźcie i weźcie sobie. – Izaak rzucił o podłogę białym talerzykiem, nad którym głowili się celnicy. Trach. Znow go poniosło, gdy tamci namyślali się nad obrazkiem Leonarda da Vinci z empiku. Izaak wyrwał obrazek i poszarpał w rękach.

– Tu jest dziesięć, a pan wiecie jedenaście par skarpetek. – Celnik sprawdzał zgodę z deklarowaną listą, na której był każdy szczegół, tytuły książek czy liczba majątek.

Była też popielniczka z numerem 1665 na odwrocie.

Myślał celnik: „No tak, to już na pewno jest antyk, 1665 rok”.

– Weźcie to sobie, bo mnie to jest niepotrzebne. – Hochman rzucił popielniczką o ścianę.

– Ten mit, że wywozimy majątek, to tamto, więc gdzieś musieliśmy te wszystkie rzeczy ukryć – opowiada Michał Hochman. – A nie wiedzieli, że moi rodzice cały majątek włożyli w mieszkanie, w odnawianie mieszkania komunalnego. Mieliśmy ładne mieszkanie, tata włożył chyba z ćwierć miliona złotych. Rodzice wyjechali do Wiednia, a ja jeszcze zostałem. [...] Ja przewidywałem, że już nigdy nie będę mógł wrócić,

jak komuna będzie się utrzymywać. Ja nie chciałem wyjeżdżać.

Tadeusz – ciąg dalszy

Miał przyjaciół.

– Jego wyjazd, to było smutne... – Sandecki sięga pamięcią wstecz. – Michała jak odprowadzałem, zresztą ja wiedziałem, że on odjeżdża o tej i o tej, bo żeśmy się gdzieś zegnali, to on miał ze dwadzieścia cztery lata. [...] Jak ja przyleciałem na dworzec kolejowy, to patrzę, na tym dworcu stoi taki dziennikarz, Wiśniewski, tu, w „Kurierze” [pisał], potem poszedł do Warszawy, znaleźmy się z widzenia, gdzieś się otarliśmy. W każdym razie to były dwie osoby, ja i ten Wiśniewski żeśmy go odprowadzili.

Michał zamieszkał z rodzicami w Nowym Jorku.

Pierwszy raz odwiedził Polskę w osiemdziesiątym czwartym roku:

– Przez 16 lat polskie władze nie dawały wiz wjazdowych – wyjaśnia.

Krakowskie Przedmieście w Lublinie pachniało jeszcze forszmakiem.

– Zrobiło mi się niesamowicie przyjemnie, kiedy Michał przyjechał pierwszy raz do Polski – wspomina Tadeusz Sandecki. – Byłem na koncercie w Hadesie, gdzie był profesor Seidler, ale on nie był Żydem, a Ormianinem. I był Wiśniewski, Michał podziękował, że go odprowadziliśmy.

Parasolnik – ciąg dalszy

W osiemdziesiątym szóstym Hochman dał koncert w Lublinie. Na występ przyszedł parasolnik z Lubartowskiej.

– I pan Szyc przyszedł z paroma osobami, profesorami teologii czy filozofii – wspomina. – To pokazuje, z jakimi ludźmi się zadawał.

Nuchym miał wtedy 55 lat.

Zmarł 14 lat później. W zakładzie parasolniczym przepracował 45 lat.

– Jeszcze po śmierci [męża] pracowałam w tym zakładzie, do dziewięćdziesiątego siódmego roku – mówiła Klara Szyc [Wejman].

Hochman:

– Pan Szyc był postacią kolorową. Żałuję, że za mało czasu spędziłem z nim w czasie moich powrotów.

Po dziewięćdziesiątym roku Hochman wracał częściej, a po przyjęciu Polski do Unii Europejskiej dostał zaproszenie od władz Lublina na udział w koncercie.

– Że ja ten wygnany, teraz mogę wystąpić na wielkim koncercie w Lublinie, że już jest taka wolność, demokracja – mówi. – Dużo ludzi potem mi mówiło, że to było niesamowite, że w tym starym, żydowskim jakby getcie mogli usłyszeć śpiewającego *Konika*...

To był duży koncert na Podzamczu. Przed wojną biegła tamtędy ulica Szeroka. Jedyną pozostałością po niej jest studzienka wodociągowa na placu manewrowym dworca PKS. Szeroka była główną ulicą miasta żydowskiego. Miasto to w czasie drugiej wojny światowej zostało niemal całkowicie zniszczone przez Niemców.

– Przed wojną w mieście mieszkało ponad 42 tysiące Żydów, dla porównania dziś jest ich niecałe 30 osób, przeważnie starszych – mówiła w 2016 roku dla „Kuriera Lubelskiego” Eteł Szyc [Pawelczyk], aktorka, córka parasolnika z Lublina. Kiedy przyjeżdża tu w 2017, opowiada historię rodzinną i prezentuje tomik poezji Nuchyma.

Trwa Zjazd Lublinerów.

Przez wieki Żydzi współtworzyli historię i kulturę Lublina, kształtując jego tożsamość. W momencie wybuchu drugiej wojny światowej stanowili jedną trzecią mieszkańców miasta. Pierwszy zjazd Lublinerów był w 1947. Przyjechało prawie półtora tysiąca osób. Po 70 latach wśród ponad 200 gości jest Michał Hochman z siostrą. Jego koncert kończy drugi dzień Zjazdu organizowanego przez Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”. Gra przy Hotelu Ilan, dawnej Jesziwie (wyższej szkole talmudycznej) przy ulicy Lubartowskiej 85.

To Lubartowska była najdłuższą ulicą dzielnicy żydowskiej. Mieściły się tam między innymi: targ żydowski czy chrześcijański, synagoga czy dom rodzinny pisarki Anny Langfus. Mieszkał tam wreszcie Hochman, a obok miał zakład parasolnik. Choć Nuchym Szyc zmarł prawie 30 lat temu, zdarza się, że do kamienicy, gdzie miał warsztat, przychodzi ktoś i pyta:

– A gdzie tu pracuje ten parasolnik? •

LISTA PRAC CYTOWANYCH

Bielski, Konrad. *Most nad czasem*. Wydawnictwo Lubelskie, 1963.

Hochman, Genowefa „Gołda”. Interviewed by Marta Kubiszyn and Marzena Baum. Nałęczów, 24 sierpnia 2004.

Hochman, Michał. Interviewed by Wioletta Wejman. Lublin, 22 października 2007, 22 października 2015.

Kopciowski, Adam. “Zarys dziejów Żydów w Lublinie”. *Żydzi w Lublinie – Żydzi we Lwowie. Miejsca – Pamięć – Współczesność*, edited by Joanna Zętar et al., Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II, Lubelska Szkoła Biznesu Sp. z o.o. Fundacji Rozwoju KUL, 2006; *Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”*, http://biblioteka.teatrnn.pl/dlibra/Content/9674/Zydzi_w_Lublinie_Lwowie_rast.pdf.

Sandecki, Tadeusz. Interviewed by Agnieszka Góra. Lublin, 3 marca 2014, 13 marca 2014.

Szyc, Klara. Interviewed by Wioletta Wejman. 24 lipca 2008.

Pawelczyk Anna, “Pierwszy otwarty Szabat w Lublinie. Żydzi pokazali miastu swą tradycję”. *Kurier Lubelski*, 14 sierpnia 2016, <http://www.kurierlubelski.pl/kultura/a/pierwszy-otwarty-szabat-w-lublinie-zydzy-pokazali-miastu-swa-tradycje,10514864/>.